

## BUDZIEJÓWEK HRABIÓW PUSŁOWSKICH

Przeżycia ostatnich dni mocno wstrząsnęły Farmerem. Wyraźnie posunął się w latach. Zmizerniał i wysechł. Spalona słońcem skóra pod brodą wisiała mu jak u indora. Dawniej szedł pewnie, teraz suwał drobnymi kroczkami. Prawie jak ten pancerniak w piekarni, z którego kpił Major, że od Maczka, maczkiem drobi. Sama myśl, że podczas sprawowania przez niego opieki nad Jorgusiem zawiódł Malinę jako security, że jej jedyny syn mógłby zginąć i po powrocie z Polski zastałaby go martwego, musiała być dla niego straszna. Podłamała stalową dotąd konstrukcję jego organizmu. Do tego doszedł ohydny i perfidny czyn Zoricy, w której magiczną moc wierzył jak w czary zielarki Karkoszki. To też w swej samotni przeżywał. Był skryty i nieufny. Mało przed kim się zwierzał. Myślę, że jedynymi jego powiernikami byli ksiądz Kazimierz, ale księdzu pewnie nie do końca wszystko mówił, no i Piotr, z którym ostatnio bardzo się zbliżył. Farmer traktował go jak syna. Nagłe histeryczne zachowanie Piotra, jego załamania nerwowe i zniknięcie były dla niego niezwykle bolesne. Widziałem, z jaką nadzieją wchodził do redakcji, a gdy nie widział Piotra, zaraz markotniał. Miotał tylko pod nosem przekleństwa: „A to szczun, franca. Kawał waryjota!”.

Musiał dać upust swej emocji, bo zaproponował mi lunch u weteranów na Dundas West. Dobrze się składało, bo ja też chciałem porozmawiać z Farmerem. W związku z odejściem Piotra nie miałem zamiaru sam ciągnąć pisma.

Kiedy zajęliśmy miejsca na sali, Farmer splótł swe grube palce i oświadczył z gorzkim sarkazmem:

- Taki to gnój ludzki, widzisz pan. Jak w obozie. Człowiek za money gotów zabić dziecko. Tylko w lagrze za pajdkę chleba, a tu za cash. I teraz pytam pana, co wart człowiek i co warta cash?! Nic. Nic, panie drogi, wierzaj mi. Opowiedziałem panu kiedyś o moim śnie o Jasnym Cesium. To teraz opowiem panu o moich planach i o trzeciej wróżbie tej dyjablicy Zoricy, okay?

- Okay.

- To cóż zamówim? Co pan chcesz, żeby tu było? - puknął palcem w blat.

- Wyżera ogiera, panie Stan. To jasne - zażartowałem.

- Good - uśmiechnął się. - Widzę, że mi pan kradniesz słówka?!

- To mój fach. I konik, panie Stan. Jak u pana ziemia i konie...

- Za to pana lubię. Bratnia dusza. Pan też stary koń, tyle że fujara, jeśli chodzi o biznes.

Milionów pan żeś nie zbił na tych swoich książkach...

- No, nie. Źle zainwestowałem, panie Stan - przyznałem.

- Sure, że tak - ucieszył się. - Nie miałeś pan tak lebskiego patrona jak ja. Mój Italian Cirillo, stary gardiner, którego każdy, ogród - czy to angielski, czy francuski, czy hiszpański - miał w małym palcu, zawsze mi mówił: - Stan, dear paesano. Remember! Terra. Terra is the most important. Nothing else. Ja go słuchał i dobrze z niego wyszedł. Trza było ziemię skupować w mieście, nie papier. I po ziemi chodzić. Teraz byś się pan śmiał, panie pisarz. I mógłbyś pan dalej te swoje zdanka „wecować”. Jak basic cash jest, to można se pozwolić na luksus uprawy duchowego garden. I swoje books czy tam article „szrajbować”, w ogródku. Całkiem fine hobby, ale nie profession. Łuj, nie. Zgodzisz się pan?!

- Zgodzę. Takiego patrona nie miałem. Należącego wprost do Boga... - Do Boga to nie - mruknął.

- Do Boga, do Boga, panie Stan - potwierdziłem. - Niby skąd?!

- Z tych słówek, panie Stan. Bo Cyryl, z greckiego Kirillos, pochodzi od słowa kyrios, czyli pan, stąd nasza najstarsza pieśń rycerska zaczynała się od Kyrie Elejson. Cyryl znaczy tyle, co pański, należący do Boga. I pański Cirillo, co stworzył panu fortunę, do samego Stwórcy należał. Stąd ta jego szczęśliwa ręka...

- No, popatrz pan. A ja zem nie wiedział. Cie, cie - pokiwał z uznaniem głową...

- Mój ogródek też na coś się przydaje...

- Sure. Tylko mówię, że masz pan teraz tarapat.

- Coś za coś, panie Stan. Wszystkiego w życiu nie można mieć...

- Bo przez to, żeś pan w młodości zrobił tego „mistejka”, to dziś na stare lata zamiast plon zbierać, shares liczyć i bąki zbijać, musisz pan tyrać - spojrzął na mnie z litością. - Poszkapileś się pan. I teraz kawał bidaka z pana...

- Mimoza od prozy, panie Stan. I dumania o duchu. Ustaliliśmy już to. Po to mnie pan „wychajerował” - przedrzeźniłem go w odwecie.

- No, no. Inaczej byś pan siedział na Florydzie, a nie w redakcyi. Pan troszku jak nasz Pioter. Nie bardzo wiesz, po jakim świecie chodzisz. Z tym że Pietrek do tego koń polny. Jednym „artiklem” tak się dać zdeptać przez chamski but?! Że go parch jakiś zlechmanił?! A pies mu mordę lizał! Splunąć i iść dalej, a nie aj-waj robić! Tego to ja nie rozumiem. To nie po mojemu. Łuj, nie! - burknął głucho. - Takim francuskim pieskiem być?! Dejże pan spokój! W circus powinien kozły fikać! Co on, matolek czy waryjot?! Może po prostu ma szmergla?! Dostał fiksa?! Kuku na muniu?! Powiedz mi pan?! - spytał z troską.

- Nie wiem, panie Stan. Ja też tego nie rozumiem. I jestem mocno zdziwiony. Zwłaszcza przy tych perspektywach, które się przed nim miały otworzyć!

- Otworzyły się. Otworzyły, panie mój - poprawił mnie twardo. Miał je w garści, o tak! - zacisnął swą ciężką pięść. - I nagle prześwistał - rozwarł sękate palce.

- Wiem. Mówiła mi o tym jego żona, że jej to otwarcie zawdzięcza...

- Żonie - wzruszył ramionami ze wzgardą. - Nie żonie, tylko mnie. Ja go chciał wyposażyć, panie drogi. Ja! Jak rodzzonego syna! Czy pan to rozumiesz?! A co pan sobie myślisz! Niby z jakiej racyi by ten mój łebski Żydek Kolman tak latał do Polski wte i wewte?! Na piękne oczy tej Gracyi?! Ja za to wszystko płacił. Ja! - walnął pięścią w stół. - Ja, Stachu Szewczyk. Farmer, jak mnie nazywata, wykupił ten cały Budziejówek hrabiów Pusłowskich. Tam za komuny było państwowe stado ogierów. I nawet parę koni mu przy okazji kupiłem...

- Pan?!

- A kto?! Gracyja?! My u niej ino podpisali ten kontrakt. That's it! Czy pan to możesz zrozumieć, że ja dla tego głupiego szczura wykupił jego ojcowiznę?! Ja to tak nazywam, choć on po matce nieboszczce dziedziczy. Chciałem, żeby miał te swoje korzenie, o których tak krzyczy. I żeby znów twardo zasiadł w siodle. A poza tym, powiem panu szczerze, panie pisarz, świętym nie jestem. Ja też miałem z tego satisfaction. Sure, że tak. Jak zem se pomyślał, że ja, biedny chłop z Wieloszyce, co orał końmi wedle ich dóbr, mogłem wnukowi hrabiego Pusłowskiego fundnąć ten dwór... I mieć przed śmiercią fun, że jakby my razem z Pietrkiem zjechali jako „wizitory” tamuj, on młody hrabicz i ja, to całe Wieloszyce gębę by rozwarły jak wierzeje, a baby ino jęły: „Laboga! Toć to nasz Stasiu od Szewczyków! Mu-jejku! I tak nam w tej Kanadzie wyrósł!”. Gdzie ja bym taką sensation zrobił?! Tylko u nas, w Wieloszycach. Bo tam najstarsze ludziska z wioski jeszcze pamiętają, z czym ja wystartował, i mogą zobaczyć, do czego doszedł. A tu ino śledzą moją metę. Jak publika na torze w Woodbine moją karę klacz Aleksę, gdy zbiera prizes.